

ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 27-go sierpnia 1925 r.

Nr. 32

Miłosierdzie nagrodzone.

Dwóch wesółych chłopczyków pobiegło pawnego zimnego poranku do lasu, aby się bawić. Nie zważali na panujący mróz, gdyż przy żywym ruchu i pocieranych podskokach wcale go nie odczuwali.

Las był wielki. Nagle usłyszeli nasi chłopcy głośny płacz. Posiadając tkliwe serce, podążyli w kierunku, skąd ich ów głos dochodził, aby może jakiemu nieszczęśliwemu człowiekowi pośłużyć swą pomocą.

Wnet spotkali jakiegoś małego, lecz już starszego człowieka, który gorzko zawodził, narzekając, że silny mróz tak strasznie mu dokuczył, że czuje się bliskim śmierci. Swym piśkliwym głosikiem prosił też rzewliwie naszych chłopców, aby go w tej niedoli poratowali.

Oni byli też do tego chętnie gotowi, a na swe pytanie, co mają uczynić, otrzymali odpowiedź, że jeżeli chcą go rzeczywiście od śmierci uratować, to mają odzukać jego własny, ciepłym pierzem podszyty płaszcz, który mu został skradziony.

— Lecz powiedz nam poczciwy staruszek — zapytał starszy Patryk — jaki to złodziej wyrządził ci taką ciężką krzywdę?

— Tym niegodziwcem jest król kawek — odpowiedział krasnoludek. — Mieszka on zaś w ruinach starego, dość stąd odległego zamczyska, gdzie te ptaki w wielkiej liczbie się gnieźdzą. Lecz niełatwa to rzecz odebrać mu zabrawany mi łup. Ptaki bowiem z pewnością zastraszą was swym przeraźliwym krakaniem. A do tego ich król jest zachwałym śmiałakiem, który wam może stawić zacięty opór. Wreszcie posiada on głowę, podobną do ludzkiej. Ponieważ zaś tak dziwnego ptaka jeszcze nigdy nie widzieliście, sam widok jego odbierze wam chęć i odwagę do walki z takim dziwolągiem.

Patryk i John — bo tak było młodszemu z chłopców na imię — oświadczyli na te uwagi jednomyślnie, że się króla kawek nie ulękną, chociażby miał nieodźwiedzi łeb, a nie tylko ludzką posiadał głowę. Gdzie chodzi o poratowanie biednego bliźniego, tam trzeba się umieć nawet poświęcić. Wszak Bóg sam tak nakazuje.

Staruszek zdumiał się na taką odpowiedź. Poczciwym chłopcom wyraził gorącą podziękę za ofiarowaną mu tak chętnie pomoc, a zarazem pochwalił ich niezwykłą na tak młody wiek odwagę.

Ostatecznie zapowiedział krasnoludek, że aż do czasu powrotu swoich młodocianych dobroczyńców przebywać będzie w swej siedzibie. Tą zaś jest wydrążenie w starym spróchniałym dębie, ale obawia się, że grozi mu tam zmarznięcie. Z powodu tego niebezpieczeństwa opuścił właśnie przed chwilą owe mieszkanie, aby się rozruszać i chociaż trochę rozgrzać. Nasi poczciwcy zdjęli swe paltociki i pożyczyci je staruszkowi, aby mu było ciepłej.

Nastąpił czas rozstania się naszej znajomej trójki. Stało się to po serdecznym pożegnaniu, zakończonym słowy: Do widzenia!

Nasi mali bohaterzy kroczyli dość rażno, chociaż im na myśl o możliwej walce z ludzkogłowym królem kawek, nieco okliwio na sercu się robiło.

Idąc we wskazanym przez krasnoludka kierunku, zbliżyli się po dłuższym marszu do ruin, o których była mowa.

Już z pewnej odległości powitało ich stado ptaków głośnie: Kra! Kra! Kra! Wnet też zaczęli kawki okręzać przybyszów, coraz głośniej kracząc i niejako grożąc im swymi dziobami.

Mimo to, przeżegnawszy się, doszli Pakryk i John do celu. Ze zwinnością wiewiórek wdrapali się na wysoką wieżyczkę, na której panował król kawek — ptak o małej ludzkiej głowie.

Ale o dziwo! Wobec naszych śmiałków dumny król stracił otuchę. Nie próbował nawet bronić się. Wolął wydać im bez protestu pierzem podszyty płaszcz krasnoludka, chociaż mu przykro było pozbyć się tak wygodnego i ciepłego posłania. Co więcej, na żądanie chłopców przyrzekł nawet uroczyście, iż odtąd już nigdy nie popełni grzechu kradzieży cudzej własności.

Ucieszeni w najwyższym stopniu chłopcy wrócili teraz czempredzej do oczekującego ich z wielką niecierpliwością staruszek i wręczyli mu przyniesiony z sobą płaszcz.

Można sobie wyobrazić radość jego i słowa podziękli, jakimi ich obsypał.

Ale na tem się nie skończyło.

Wdzięczny krasnoludek hojnie naszych miłosiernych chłopców za ich piękny czyn wynagrodził, a to w ten sposób, że ilekroć włożył ręce do kieszeni, tylekroć znajdowali w niej złotą. Tak stali się z biegiem czasu bardzo bogatymi ludźmi.

Najświętsza relikwia.

Zjechali się przed kilkuset laty panowie polscy do Rzymu, aby u Piusa V. wyprosić sobie relikwie.

Zycallwie przyjął ich świętobliwy papież, pochwalili, że w celach pobożnych tak daleką odbyli podróż, w tej samej jednak chwili, zamyślił się głęboko i spojrzawszy im w oczy, w te odezwał się słowa:

— Niemal ja się dziwuję, słysząc, jak żądają odemnie męczeńskich pamiątek przedstawiciele narodu, którego ziemia tak przesłania krwią, że wziąć jej grudkę do ręki i ścisnąć, to ręka ta purpurową zrosi się wilgocią.

Zakłopotanie odmalowało się na obliczach pielgrzymów polskich; pojąć nie mogli, iżby cud taki przywiązany był do ziemi, po której codziennie własnymi deptają stopami, iżby pola syjące im ziarnem, miały

ponadto moc przypisywaną kościołom wyznawców, podniesionych do rządu Świętych za wytrwałość we wierze. Spozstrzegł to papież i chcąc im dopomóc do zrozumienia słów swoich poprzednich, dodał:

— Przynieście garść jej choćby z Sandomierza, a pod kościoła Panny Marii, a przekonacie się, co za przednią relikwę ta wasza oczysta kryje gleba.

I wtedy dopiero przypomnieli sobie, jakto za panowania Bolesława Wstydliwego Tatarzy wpadli do Polski, taki naokół siejąc postrach, że sam król widząc, iż nie ma sił dostatecznych, aby zbójckiej tej nawale zwycięskie stawić czoło, na węgierską uszedł stronę. Wtedy dopiero uprzytomnili sobie, jak bordeny pohańców, dotarłszy pod mury Sandomierza, z bohaterem spotkały się oporem; jak ostatecznie, podstępem gród ten wzięwszy, w pień wycięły załogę i psom na pożarcie rzuciły jej zwłoki; jak gromadka ocalałych niedobitków zwłoki te pozbięrała i ze czcią największą na omentaryzysku świętomaryjskim pogrzebała.

Cudowe ziele.

Dwie dziewczynki szły razem do miasta, każda ze sporym koszykiem owoców. Anna ciągle narzekała na ciężar. Jadwiga zaś wesoło śpiewała. Nie wiedz skąd ci ta wesołość? odezwała się Anna — „przecież twój koszyk nie jest lżejszy od mojego — ani ty nie jesteś silniejszą odemnie?”

— „Tak, odrzekła Jadwiga — tylko ja włożyłam w mój koszyk trochę pewnego ziele, które go czyni tak lekkim, że ledwo go w rękach czuję”.

— „Oj! zawołała Anna — „to musi być jakieś chyba cudowne ziele. Daj mi go — przydałoby się i mnie bardzo — bo jeszcze daleka droga przed nami a już mi się isć nawet niechoce dalej. Jak się nazywa to ziele? „Łatwo dostać je możesz sama” — rzekła Jadwiga — „jest to chęć dobra i cierpliwość”. Z niemi wszelkie trudy i przykrość znieść łatwo!

Pan strzyżków.

W Irlandji, na wielkiej wyspie w pobliżu Anglii, był ubogi człowiek ze swą żoną. Mieli tylko jednego syna, któremu było na imię Patryk.

Chata, w której ta rodzina mieszkała, nie była ich własnością. Należała raczej do pewnego pana, od którego ją dzierżawili.

Był to człowiek bardzo bogaty, lecz jakby w pierś wcale serca nie posiadał. Chciwość i żądza dalszego bogacenia się, zabiły w nim wszelkie uczucia litości. To też żądał zawsze od biednych mieszkańców chatki punktualnej zapłaty dzierżawego.

To sprawiło im wiele znartwienia, gdyż pomimo skrętniej pracy i do najwyższego stopnia pusuńniętej oszczędności, nieraz ani grosza w domu nie mieli. Wyczekiwali więc z lękiem i trwogą dnia, w którym przypadał termin zapłaty dzierżawy.

Taki termin był znów pewnego razu bardzo bliski. Biedni ludziska sypiać nawet nie mogli; tak ich trapiły rozpaczliwe myśli, co się z niemi stanie, jeżeli swego obowiązku wobec srogiego bogacza wypełnić nie będą mogli.

Nieszczęśliwa kobieta biadała, a lzy gorące oblewały jej strudzone oczy.

Patrzył na te objawy boleści mały Patryk, a żal nad smutną dolą rodziców serce mu ścisnął, bo był to chłopiec poczciwy i rodziców swych, jak Bóg przykazał, szczerze szanował i serdecznie kochał.

Chłopczyk pytał się też ich nieraz o powód ich ciężkiego smutku. Jeżeliby to było możliwe, chciał im dopomóc, chociażby to wielkiego poświęcenia

wymagało, lecz ani ojciec ani matka chcieli mu wyjawić, co im tak dolega. Za każdym razem odpowiadali mu tylko, że on im pomocy dać nie jest w stanie, i wysyłali syna na dwór, aby się z innemi dziećmi zabawił. Z miłości ku swemu jedynakowi pragnęli mu bowiem oszczędzić w tak młodym wieku wszelkiej przykrości.

Pewnego dnia wybiegł Patryk na pole i spozstrzegł grono chłopców, goniących za strzyżkami czyli, jak się je u nas po ludowym nazywa mysikrólikami. Według zwyczaju śpiewali przytam piosenkę, wzywającą ową drobną królewską ptaszynę, aby ich szczęściem obdarzyła.

Patrykowi był ten zwyczaj jeszcze obym. Zapytał więc jednego z chłopców, coby on znał.

— Jesteś widocznie jeszcze bardzo głupiutki — brzmiała odpowiedź zbytnika — jeżeli o tem nie wiesz. My co rok urządzamy taką gonitwę za strzyżkami, a jeżeli nam się uda schwycić strzyżka, to idziemy z nim do miasta i nucimy ową piosenkę przed oknami bogatych panów. Wtedy dostajemy od nich po kilka groszy.

— Ze wam uzyskanie pieniędzy sprawia uciechę — odparł tkliwego serca Patryk — to rzecz zrozumiała, bo biednemu każdy grosz się przyda, ale jest grzechem i barbarzyństwem tak męczyć te biedne ptaszka, które ludziom życie umilają.

Te słowa nie podobały się swawolnym chłopakom. Przeto skwasili się na Patryka, skierowali ku niemu ostre wejrzenie i zagrozili nawet biciem, gdyby się czempredzej nie wyniósł.

Zaledwie się to stało, rozległ się głos: Strzyżyk! Strzyżyk! I rzeczywiście ukazała się wśród gęstych krzewów ta mała ptaszyna.

Chłopacy podnieceni pragnieniem zarobku, rzucili się hurmem ku owym krzewom. Zapomnieli nawet swym zapale o Patryku. Mógł on więc podążyć w tyle za nimi. Chciał się bowiem przekonać, czy zdobyć rzeczywiście wpadnie w ich ręce.

Brunatny strzyżyk w obliczu niebezpieczeństwa wytężył wszystkie swe — tak słabe — siły, aby go uniknąć. Skakał lub przelatował z gałązki na gałązkę, z krzaka na krzak, aby ująć pogoni, a banda niesfornych chłopców goniła za nim, lecz bezskutecznie, ostatecznie tak się zmęczyli, że zaniechali dalszej pogoni. Wytrwał tylko największy z nich, który nie przestał uganiać się za biednym ptaszkiem aby go schwycić.

Wreszcie i strzyżyk zaczął ze zmęczenia słabnąć. Zdawało się, że dalej lecieć nie może. Zeskoczył na ziemię i skrył się głęboko wśród gałęzi gęstej krzewiny.

Jak kot na myszkę, chłopak rzucił się na strzyżka i już, już zguba jego była pewna.

Wtedy litościwy Patryk poszedł prosić błagalnie tyrana, aby dał spokój ptaszynie. Gdy zaś tenże ofuknął go za to po grubiańsku, Patrykowi zawrzała krew z oburzenia i siłą przeszkodził swemu przeciwnikowi w wykonaniu nienegego zamiaru.

Patryk zwyciężył. Był on sporo mniejszy od tego drągola, lecz dość silny, a przytem odważny i o wiele zwinniejszy. To zaś w walce jest bardzo skuteczną pomocą.

Ptaszyna została więc uratowana od niechybnej śmierci, bo chłopcy irlandzcy przy takiej gonitwie schwytanemu strzyżkowi lebek ukręcali i nieżywego po mieście obnosili.

Dryblas, widząc się pokonany, spokorniał i jak niepyszny cofnął się z widowni niefortunnej walki — z małym Dawidem. W duszy jego jednak pozostała ukryta złość i żądza zemsty ku zagnanemu zwycięscy.

(Dokończenie nastąpi.)